

Cho Oyu (8201)

Relacja z wyprawy 2005

Wojciech Jankowski

Lipiec 2005



Cho Oyu (8201)

Relacja z wyprawy 2005



Zdjęcia: wykorzystane za zgodą Autorów

Tekst: Wojciech Jankowski

wjankowski@hotmail.com

Wszystkie prawa zastrzeżone

Wojciech Jankowski

Lipiec 2005



Story

Siedzimy w Skodzie Starego. Stary raz po raz zaciąga się Klubowym. W zapadającym mroku, pobliskują białą ściany Okiennika. Nie odwracając głowy Stary rzuca wiszące w powietrzu od kilku minut pytanie:

- No, więc, o co chodzi Staruszkę?

Tym razem – słowo używane przez niego w konwersacji z każdym rozmówcą niezależnie od wieku - brzmi łagodniej. Obydwoje wiemy, że na to pytanie nie będzie odpowiedzi. Zamiast prób sformułowania jakiegoś buńczuczny tekstu całą uwagę skupiam na wypatrywaniu szczegółów rzeźby wapiennych skał: Powyżej stopieńków na płycie, ryską w górę na balkon pod bułą i potem klinując lewą nogę i wyszukując chwytów po prawej, na bułę skąd już łatwo na szczyt. Uświadamiam sobie, że wpatruję się w TĘ drogę. Dwadzieścia metrów prowadzące do zalamania. To po jej przejściu, siedząc na stanowisku obserwowałem chmury. Chwila relaksu, uspokojenia dygotu mięśni nóg.

- Jacek, mam auto, możesz iść! – krzyczę wesoło do partnera.

Lina niemrawo przesuwana się przez przyrząd. Białe nade mną kotłuje się i zmienia. Jak dobrze siedzieć tak na ciepłej skale i patrzeć w niebo. Z błogostanu wyrwa mnie szarpnięcie. Lina łącząca mnie z Jackiem ze świstem przecieka przez przyrząd i po ułamku sekundy nieruchomieje.

- Jacek, co jest! - drę się w dół.

- Właśnie utłukł ci się - kurwa – partner. - słyszę w odpowiedzi wrzask Piotra.

- Czego się – kurwa – gapisz w – kurwa – gwiazdy, zamiast – kurwa – asekurować! – miota się Instruktor.

Wychylam się ze stanowiska na długość auta i na szczęście dostrzegam Jacka. stojącego bezpiecznie na skalnym balkonie. To Instruktor sprowokowany moim zamysłem pociągnął za linę symulując wypadek mojego Partnera. Zwabiony halasem, pod skalę kuśtyka na swoich zniszczonych żylakami nogach Stary.

- Po jaką cholere on tu lezie? – myślę ze złością wybierając luz na linie.

Słyszę jak na dole Piotr ze Starym dyskutują o nieodpowiedzialnych gówniarzach pchających się w góry. Chcę uciec, tymczasem muszę ściągać linę. Na jej końcu posuwa się Jacek starając się nie obciążać tej wątpliwej w moich rękach gwarancji swojego bezpieczeństwa. „Taaak, wypadające kostki, źle zawiązany węzeł, obtarty w zjeździe tylek, drogi których nie zdołałem przejść, a teraz jeszcze to.” Podsumowanie moich dokonań z ostatniego tygodnia zmusza do zastanowienia się nad poprawnością dokonanego wyboru. W końcu brydż to też pasjonujące zajęcie. Jestem wdzięczny Jackowi, że nie dołącza do chóru pomstujących i wspaniałomyślnie oświadcza, że nic się nie stało. „Stalo się, i to jeszcze jak!” – z tego zdarzenia mogę wysnuć tylko jeden wniosek.

- Piotr, dziękuję za szkolenie, jutro wyjeżdżam – oświadczam odpinając pasek mocujący kask zanim Instruktor zdąży przedstawić mi swój punkt widzenia na warunki bezpiecznej wspinaczki i idę zaszyć się w namiocie.

Stary odczekawszy na niemającą paść odpowiedź nabiera w płuca ożywczą dawkę nikotyny, po czym wypuszcza powoli dym i od czasu do czasu pokasłując zaczyna monolog.

- Wiesz Staruszkę – mówi patrząc cały czas na tę co ja skalę – nie musisz się wspinać. Możesz wyjechać. Nie wiem czy kiedyś będziesz tego żałował, czy uznasz, to za najlepsze rozwiązanie. To jest twoja decyzja i nikt

za ciebie jej nie podejmie. Ale jeśli złapałeś już bakcyła gór to nie uda ci się go zagłuszyć. W takiej sytuacji podejmując decyzję wbrew swojej pasji - popełniasz błąd. Rzykujesz, że uchylanie się od stawienia czoła trudnościom wejdzie ci w krew i że rozwiązanie takie będziesz wybierał ilekroć pojawi się wyzwanie. Może nawet z czasem polubisz tę swoją cechę i unikniesz zgorzknienia.

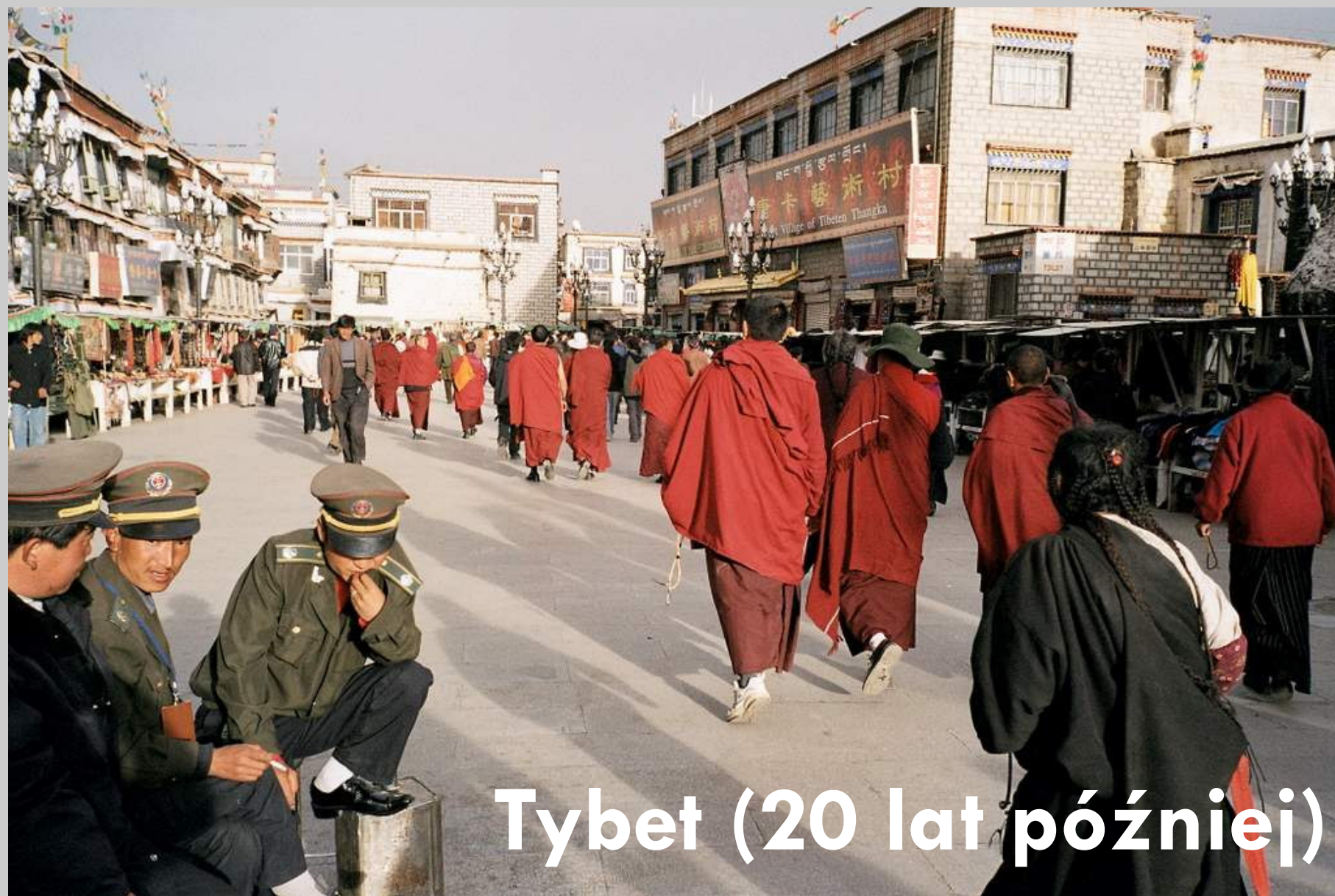
Za oknem zaczyna lekko mżyć. Skały momentalnie przestają być widoczne. Nie widać już „mojej” drogi. Stary gasi peta w popielniczce i kontynuuje.

- Moja propozycja jest taka: możesz zostać do końca kursu, a jeśli twoja pasja okaże się dostatecznie silna wrócisz za rok po kwalifikację na szkolenie w Tatrach.

Nie czekając na odpowiedź zapala lampkę pod sufitem i niespodziewanie obraca się w moją stronę szukając kontaktu wzrokowego.

- *Pomyśl czy tu chodzi o wspinanie?, o góry?, a może o coś dużo ważniejszego?*





Tybet (20 lat później)

20 lat później, 7 kwietnia 2005 roku, na lotnisku w Kathmandu ląduje samolot wiozący uczestników wyprawy na 6. szczyt Ziemi – Cho Oyu (8201 mnpm). Jestem w grupie 9 kandydatów mających nadzieję, że już za kilka tygodni będą mogli dumnie nadstawiać czoła po laury należne nieustraszonym pogromcom ośmiotysięczników. Grono pretendentów uzupełnia Rysiek – Lider zawodowo trudniący się organizowaniem wypraw wysokogórskich oraz trójka trekkerów chcących posmakować egzotyki tybetańskich krajobrazów i trudów wyprawy odbiegającej dalece od wielkomijskiej codzienności.

Pierwsze zetknięcie z Kathmandu to dla nowicjusza mieszanek zaczarowań i odczarowań. W konfrontacji z brudem ulicy, smrodem spalin, jazgotem klaksonów przyska mit uduchowionego królestwa na szczycie świąta. Dostojni sadhu z pewnością poborcy taksy klimatycznej wyciągają ręce po datki za zrobione im zdjęcia, samozwańczy przewodnicy po zabytkach doprowadzają nieuchronnie do wybranego sklepu, a dzieci ćwiczą swój angielski słowami „one rupee!”. Wystarczy jednak chwila zadumy w świętym gaju w towarzystwie śpiącego w kapliczce bóstwa, napotkanie kobiety płuczącej na ulicy włosy czy zza chmur wylaniający się widok odległych gór - aby czar wrócił.

Ze względu na zegar wyprawowy nastawiony na wysokie obroty, w Kathmandu spędzamy tylko jeden dzień. Czasu wystarczy na załatwienie brakujących formalności i rajd rowerowy po miejscach, które trzeba koniecznie zobaczyć. O dokładnym zwiedzaniu nie ma mowy, ale za to poznajemy tajniki przepisów o ruchu drogowym rządzące ulicznym chaosem. Podstawą sukcesu w jeździe na rowerze jest tu przyswojenie sobie zasady, że „dzwonek jest ważniejszy niż hamulce”. Zatem włączamy się w ruch uliczny dodając sobie odwagi głośnym dzwonieniem. Kolejne etapy wycieczki prowadzącej obrzeżami Kathmandu aż do Patanu pozwalają na bliska - acz przelotnie - spojrzeć na hinduistycz-

ne świątynie i buddyjskie stupy, place pałacowe i wszechobecne stragany. A przede wszystkim wycieczka stwarza szansę przyjrzenia się kolorytowi codziennych czynności mieszkańców doliny. Kobieta, podtrzymując ciężar parciań taśmą opartą o czoło, dźwiga szafę. Ryksiarze, zmożeni południowym upalem, śpią na siedzeniach swych pojazdów. Rodzina, żegnając zmarłego przed kremacją, składa na stosie ciało. Naganiacz - bileter, uderzając dłonią w karoserię autobusu, daje kierowcy znak odjazdu. Dookoła toczy się codzienne życie, które w wielu swoich przejawach bywa dla przybyszów niezrozumiałe, a czasami wręcz szokujące.



Następnego dnia nasza grupa dzieli się na dwa zespoły. Wspólnie z trekkerami i dwójką pretendentów do miana „Zdobyców Ośmiotysięczników” – Zbyskiem i Arturem - wybieram wariant podróży przez Lhasę. Z Kathmandu lecimy do stolicy Tybetu. Stamtąd siedmiuset kilometrowy przejazd pozwala na przyjrzenie się - starannie przez państwowe biuro podróży wyselekcjonowanym - realiom okupowanego przez Chiny kraju. Wąlorom krajoznawczym towarzyszy możliwość efektywnego zdobywania aklimatyzacji wysokościowej.

Od pierwszego zetknięcia z Tybetem, jeszcze na lotnisku czujemy baczną opiekę powołanych do tego służb. Jesteśmy przekazywani z jednych umundurowanych rąk do drugich - sprawnie i bez pozostawiania miejsca na improwizację. Zainteresowanie celników wzbudza przede wszystkim książki i płyty. Przez kontrolę przechodzi książkowy przewodnik po Tybecie. Zawiera on rycinę przedstawiającą zakazany w Tybecie portret Dalaj Lamy. Napis „Printed in China” jednoznacznie wskazuje na miejsce produkcji. Dobitna lekcja chińskiego zdrowego rozsądku na styku polityki i ekonomii. Kontrola w pokoju na zapleczu poddane są również płyty CD – zarówno te zawierające muzykę z „The Wall”, jak i te zapisane samouczkiem z dziedziny finansów.

Przy drzwiach lotniska zostajemy przekazani pod opiekę namaszczonego przez władze przewodnikom. Zagoniwszy niesforne stadko, złożone z kilku grup trekkingowo - wspinaczkowych, do podstawionych jeepów, nasz przewodnik daje sygnał odjazdu i kawalkada karnym szeregiem rusza do Lhasy. Nie ma wyprzedzania, żadnych szaleństw na pustej drodze – jedziemy tak jak wyznacza prowadzący: z godnością, bezpiecznie i nudno.

Kolejne dni spędzone w Lhasie przekonują o pełnej chińskiej kontroli nad życiem stolicy Tybetu. Mieszkamy w hotelu dla obcokrajowców, jemy w dwóch wyznaczonych restauracjach, oglądamy świątynie, w których ledwo tli się życie religijne, nawet co znaczniejsze kramy z tybetańską biżuterią, ustawione wokół dzielnicy Barkhor, wydają się być zarządzane przez Chińczyków. Tylko tłum kolorowych postaci okrążających korę i w większości starsi ludzie rozciągający się i powstający w miarowym rytmie przed wejściem do świątyni świadczą o przetrwaniu tradycyjnej obrzędowości.

Poza enklawami świątyni i tradycyjną dzielnicą tybetańską reszta miasta nie świadczy o jego przynależności

do tego miejsca. W Kathmandu nawet jarmarczny, nastawiony na turystów Thamel jest miejscem „stad”. Większość sklepików ma w sobie to „coś”, co pozwala jednoznacznie przypisać kram, jego obsługę i otoczenie do Nepalu. W Lhasie, powstająca infrastruktura miejska unika nawiązań do lokalnej tradycji. Szerokie arterie ulic są przygotowywane na przyjęcie ruchu kolejowego aglomeracji dużo większej niż już i tak rozbudowane dzisiejsze miasto. Domy handlowe zapelnione są towaram znanym ze Stadionu X-lecia. Nawet straganiarze z biżuterią wydają się mrużyć oko i wołać „Cepelia, Cepelia”. A wszystko to pod czujnym spojrzeniem służących ludowi milicjantów i żołnierzy.

Mimo panującej w Pałacu muzealnej martwoty, siedziba Dalaj Lamy – Potala wywiera ogromne wrażenie. Opinie, skwapliwie przytaczane przez przewodniki, a nazywające biało-czerwoną monumentalną budowlę dominującą nad Lhasą, jednym z architektonicznych cudów świata, są usprawiedliwione. Niezwykle proporcje, zespolenie skały i murów, zygzaki schodów, kontrast kolorów, wszystko to sprawia, że pałacu Dalaj Lamy nie można pomylić z żadnym innym budynkiem. Wraz z chińską wycieczką wchodzimy do wnętrza kompleksu. W ulokowanych wokół dziedzińca komnatach stłoczone są sprzęty, niezliczone figury Buddy w

różnych wcieleniach i niezwykle kolorowe malowidła. Pomiedzy turystami przez kolejne sale przebiegają zaaferowani Tybetańczycy. W rękach trzymają zwitki drobnych banknotów. Pośpiesznie wtykają pieniądze za szyby osłaniające ekspozyty – obiekty kultu religijnego. Ich obecność to jedyny dostrzegalny na pierwszy rzut oka przejaw żywotności tego miejsca. Dominuje muzealny kurz i duszna atmosfera dawno niewietrzonych wnętrz.

Więcej przejawów życia można zaobserwować w dwóch pozostających na uboczu miasta klasztorach: Sera i Drepung. Dawniej te ośrodki monastyczne były domem, miejscem nauki i modłów dla kilkudziesięcnych społeczności. Dziś władze zezwalają na zamieszkiwanie tu kilkuset mnichom. Według ostrzeżeń naszego bedekera, swoboda ich działalności jest jednak iluzoryczna, a próby wyrażania przez turystę sympatii dla prawowitych porządków Tybetu mogą skończyć się denuncjacją ze strony mnicha – funkcjonariusza i deportacją nieostrożnego przybysza. W Sera, z grupami pielgrzymów, podążamy przez sale modlitw, kaplice i zaułki bogato zaopatrzone we wszelkiego rodzaju pielgrzymkowe atrakcje. Kręcimy młynkami, próbujemy odgadywać nazwy wcieleń bóstw wyobrażanych przez posągi, kupujemy drobne amulety przeznaczone

dla wędrowców, a nawet przyjmujemy błogosławieństwo na drogę od dyżurnego mnicha. W Drepung z Kasią wybieramy jeszcze inny sposób eksperymentalnego poznania buddyjskich procedur. Omijając klasztor wspinamy się na wzgórze ścieżką wyznaczającą korę – szlak okrążający święte miejsce. Droga doprowadza do punktu widokowego znajdującego się ponad siedemset metrów nad klasztorem. Mój wysokościomierz wskazuje 4550 mnpm, a przyśpieszony oddech potwierdza wskazania przyrządu – wysoko jak na początek aklimatyzacji. Wracamy do Drepung już po zamknięciu świątyni. Gubimy się w labiryncie uliczek, dziedzińców i schodów. Do wyjścia odprowadzają nas wzrokiem śpieszący do codziennych obowiązków mnisi.

Od kolegów dowiadujemy się, że podążając drogą pobożnych i niepozabawionych kondycji pielgrzymów przegapiliśmy atrakcje, jakie stały się udziałem zwiedzających Drepung. Pierwszą z nich była małowiczna debata mnichów. Zebranie, na którym zgromadziło się kilkudziesięciu młodych adeptów, polegało na wzajemnym przepytывaniu się z ważnych dla buddystów, a niezrozumiałych dla niewtajemniczonych, zagadnień religijnych.



Drugie doświadczenie lokalnej specyfiki było udziałem Doroty i Marka. W towarzystwie podróżującej z nami pary amerykańskich wspinaczy trafili do lepianki będącej domem dwojga starych Tybetańczyków. Bieda i gościnność to często cechy idące w parze. Gospodarzom nie brakło ani jednego ani drugiego. Diane próbowała konwersować ze Staruszkami przy pomocy podręcznej książki z rozmówkami. W trakcie jej wertowania Gospodarz dostrzegł rycinę przedstawiającą Dalaj Lamę. Nie pozwolił dalej kartkować książki tylko wspólnie z żoną wpatrywali się w podobiznę i komentowali z wyraźnym podnieceniem swoje szczęśliwe odkrycie. Po tym zdarzeniu zaciekleść, z jaką Chińczycy próbują zapobiec przedostawaniu się na ich teren przedmiotów przypominających Tybetańczykom o ich Przywódcy, wydała się nam bardziej zrozumiała. Pozostaje zachować nadzieję, że represyjność systemu będzie nieskuteczna.

12 kwietnia opuszczamy Lhasę rozpoczynając trzydniową podróż do bazy pod Cho Oyu. Uzgodniona z naszym opiekunem trasa ma nam umożliwić odwiedzenie kilku znaczniejszych klasztorów. Czeką nas także przejazd przez przełęcze położone na wysokości ponad 5000 mnpm. Pierwszą atrakcją turystyczną na naszej drodze jest jezioro Yamdruk Tso. To jeden z

większych i ważniejszych akwenów Wyżyny Tybetańskiej. Jezioro wije się pomiędzy otaczającymi je górami, kolor wody kontrastuje z sąsiednimi barwami zmuszając do podjęcia prób uwiecznienia tego niebanalnego widoku na kliszy fotograficznej i budząc niepokój, że jak zwykle obrazek taki po zatrzymaniu w kadrze okaże się kiczowaty. Yamdruk Tso obok walorów estetycznych ma znaczenie ekologiczne, a dla wyznawców także i religijne. Od kilku lat trwają spory czy eksploatowana elektrownia wodna korzystająca z ośmiuset metrowej różnicy poziomów pomiędzy taflą jeziora a Doliną Brahmaputry stanowi zagrożenie dla dalszej egzystencji zbiornika. Jezioro nie ma naturalnych odpływów, a jego zlewnia jest ograniczona linią okolicznych grani. W tej sytuacji spuszczenie wody do Brahmaputry budzi obawę o nieuchronne wyczerpanie skąpo odnawianych zasobów Yamdruk Tso.

Jedziemy gruntową drogą wokół jeziora. Nasi kierowcy wertepy szutrówki pokonują z większą prędkością aniżeli drogi o nawierzchni asfaltowej. Za samochodami w tumanach kurzu pozostają nieliczne wioski, pasące się przy drodze kozy i śmiesznie pyrkoczące traktorki wyglądające jak skrzyżowanie dzieciennego rowerka z taczka. W wielu miejscach trwają intensywne prace budowlane mające na celu poszerzenie i poprawie-

nie dróg. Wymijamy ekipy robotników umacniających pobocza i wyrównujących nawierzchnie. Najczęściej kilku maszynom budowlanym obsługiwanych przez chińskich techników towarzyszy grupa tybetańskich kobiet zaopatrzonych w proste narzędzia i rozgarniających haldy materiałów podkładowych. Budowa drogi toczy się obok biegu lokalnej ekonomii nie mając z nią praktycznie żadnego styku. W mijanych osiedlach nie widać, aby powstawały garkuchnie czy sklepiki dla robotników budowlanych, a miejsca postoju ciężarówek korzystających z drogi leżą o kilka przełęczy stąd. Ktoś ważny rezydujący daleko od miejsca budowy zdecydował o powstaniu drogi, więc miejscowi mają możliwość zarobienia kilku yuanów przy prostych pracach. Ten drobny zastrzyk gotówki to obok zwiększonej dawki unoszącego się nad drogą kurzu jedyny lokalny efekt decyzji. W ślad za drogą w okolicy pojawiają się imigranci z innych części Państwa Środka, powstaną przyczółki przemysłu zlokalizowane w nijakich bazo-koszarach zaopatrzonych w anteny satelitarne i pokrytych zagrzewającymi do pracy napisami. Może nawet uda się doprowadzić ruch turystyczny do zapomnianych przez dekady ruin klasztoru. Zbudowana zostanie oficjalna jadalnia dla turystów i hotel przyczyniając się do kontynuacji imponującego 10% wzrostu gospodarczego odnotowywanego w ostatnich la-



tach w Chinach. Wtedy, co bardziej operatywni Tybetańczycy, którzy opanują znajomość podstawowych zwrotów handlowych takich jak „true stone, very cheap, three hundred yuans” będą mogli sprzedawać turystom fałszywe agaty produkowane masowo – jakżeby inaczej - w Chinach.

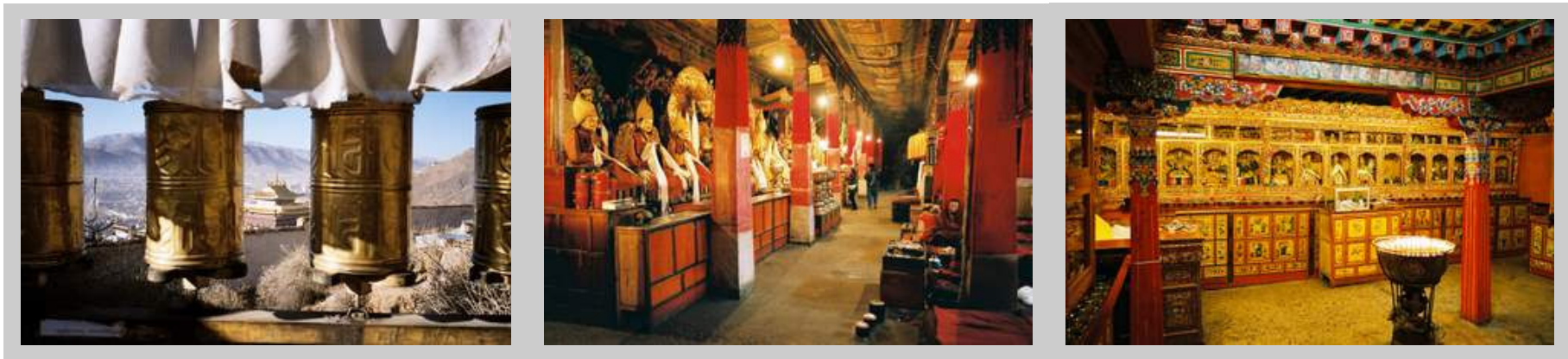
Na nocleg zatrzymujemy się w Shigatse – drugim pod względem wielkości mieście Tybetu. Shigatse i Lhasa przez stulecia rywalizowały o prymat nad Wyżyną. Główny klasztor w mieście – Monastyr Tashilhunpo to dawna stolica Panchen Lamy osobistości Numer 2 w hierarchii buddyzmu tybetańskiego. Rywalizację pomiędzy ośrodkami starały się wykorzystać władze dla przejęcia rządu dusz. Wysiłki te nie powiodły się, a ich ubocznym efektem stało się zachowanie zabudowań klasztornych w stanie sprzed rozpoczęcia okupacji. Ze wszystkich oglądanych monastyrów Tashilhunpo robi największe wrażenie. Oglądane z centrum miasta budynki rozmieszczone na łagodnie wznoszącym się zboczu, otoczone ścianą polyskujących w słońcu młynków modlitewnych i uwieńczone spływającymi ze szczytu wzgórza flagami modlitewnymi – wyglądają imponująco. Wraz z pielgrzymami obchodzimy korę wprawiając w ruch młynki modlitewne. We wnętrzach klasztoru przybywający składają drobne

ofiary i uzupełniają w kadziach zapasy masła – paliwa płonącego w ofiarnych lampach. Skośnookie figury buddów i świętych mężów wpatrują się w dal ponad głowami modlących się. Na malowidłach zdobionych ściany dziedzińców przy pomocy specjalnych ułożeń rąk – mudr, budda sygnalizuje przynależne mu przymioty. Kilkupiętrowa, biała ściana wznosząca się w najwyższym położonym kącie kompleksu czeka na wywieśzaną z okazji świąt ogromną tankę.

Na kolejnym etapie podróży nasz przewodnik sprawia nam niemiłą niespodziankę. Poprzedniego wieczoru ustaliliśmy plan zwiedzania obejmujący wizytę w mało znanym klasztorze. Wbrew uzgodnieniom przewodnik kieruje nas inną drogą w dolinę Brahmaputry. Po kilkunastu kilometrach od minięcia rozjazdu Zbyszek zauważa zmianę trasy. Podejrzewając celowe działanie wywołujemy małą burzę. Przewodnik zdaje się nie rozumieć, czemu na jego głowę wałą się gromy. Ustalenie ustaleniem, a na rozwidleniu dróg stał policjant, który pokazywał jedyny słuszny kierunek jazdy – tłumaczy z rosnącą irytacją. W samochodzie, z obrażoną miną chłopak włącza kasetę z natrętnym chińskim disco.

Jednak droga, na którą wbrew naszej woli trafiamy, godna jest uwagi. Biegnie wąską i krętą na tym odcinku doliną Brahmaputry. Po bokach doliny wiatr wznosił gigantyczne wydmy. O sile żywiołu możemy się przekonać, gdy niesiony wiatrem piach ogranicza widoczność do kilku metrów. Po przejechaniu przewężenia doliny zjawisko słabnie, i znów możemy obserwować przesuwające się za szybą krajobrazy. Uznanie dla talentów inżynierskich mieszkańców wzbudza ciągnące się przez wiele kilometrów kanały irygacyjne, dzięki którym woda pobierana w górze rzeki dociera do pól leżących kilka metrów powyżej jej poziomu w dolnym biegu.

Przed dojazdem do miejsca drugiego noclegu w miejscowości Shegar musimy pokonać najwyższy punkt na trasie – przełęcz Gyatso La 5220 mnpm. Nasza karawana składa się teraz już tylko z dwóch jeepów. Obok naszej szóstki z przyśpieszonego przejazdu korzysta dwójka amerykańców – Ben i Diane. Ich celem jest kolejna próba zdobycia Cho Oyu. Poprzednie dwie próby zakończyły się niepowodzeniem. Teraz są dla nas źródłem informacji o warunkach, jakich powinniśmy się spodziewać na planowanej drodze. Wspólnie z Arturem dochodzimy do wniosku, że podstawą sukcesu będzie determinacja i szybkość działania. Cho Oyu



nie powinna sprawić nam trudności technicznych, ale też nie powinniśmy liczyć na nieprzerwaną przychylność bogów odpowiedzialnych za pogodę. W rozmowach próbujemy wzajemnie wybadać się na ile silne są nasze motywacje utwierdzając się w przekonaniu, że jesteśmy skłonni wiele poświęcić, aby znaleźć się w szpicie wyprawy i aby nie zmarnować być może tej jednej jedynej szansy na skuteczny atak. Ben i Diane zgadzają się z opinią, że zła pogoda może być główną przeszkodą w osiągnięciu celu. Tym czasem nie zaniedbujemy żadnej okazji, aby zwiększyć swoje szanse poprzez forsowną aklimatyzację.

14 kwietnia docieramy do bazy chińskiej na wysokości 4900 mnpm. Nasz przyjazd ma miejsce zaledwie godzinę po tym jak namioty zaczyna rozbijać część ekipy podróżująca z Napalem drogą lądową. W tym miejscu spędzimy dwa dni przyzwyczajając organizm do funkcjonowania w warunkach rozrzedzonego powietrza.

Lokalizacja nie jest sympatyczna. Głównym elementem wpływającym negatywnie na samopoczucie jest wiatr. Bezlitośnie łopocze polami namiotów. Sypie piach między zęby. Wzmacnia subiektywne odczuwanie chłodu.

Mimo to staramy się nieprzerwanie pracować nad uzyskaniem jak najlepszej aklimatyzacji. Wchodzimy na sąsiadujące z obozem wzgórze. Wiatr na grani próbuje zniechęcić nas do pozostawania na jego łasce. Jednak możliwość wysłania ostatnich sms-ów wykorzystując skraj zasięgu sieci komórkowej jest dodatkowym, silnym argumentem za spędzeniem kilku minut na odsłoniętym zboczu. Wśród wyprawowiczów pojawiają się pierwsze problemy zdrowotne. Szczególnie mocno dotykają one Zbyszka. W dniu, w którym ruszamy do bazy pośredniej Zbyszek zjeżdża po pomoc w kierunku cywilizacji. Jego doświadczenia w zetknięciu z lokalną służbą zdrowia nabyte w ciągu kolejnych dni, mo-

głyby posłużyć za scenariusz do sequela filmu „7 lat w Tybecie”. Szczegóły pobytu Zbyszka w „szpitalu” zrelacjonuje nam ich bohater dopiero po dłuższym czasie. W chwili jego odjazdu niewiele z nas wierzy, że Zbyszek zdecyduje się na powrót do wyprawy.



Baza (13 lat później)



We wcześniej uzgodnionym terminie w bazie pojawiło się kilkadziesiąt jaków mających przetransportować nasz ekwipunek do tzw. bazy wysuniętej. Dwudniowa droga prowadziła najpierw dnem doliny, a w jej górnym biegu, gdzie schodzi pryszczaty serakami lodowiec – krawędzią moren bocznych. W połowie drogi można było odpocząć w tybetańskim obozowisku. Jego gospodarz obok napojenia nas herbatą i coca colą za punkt honoru postawił sobie sprzedanie turystom pamiątek. Żądane ceny wywoławcze były absurdalnie wygórowane i do transakcji, ku zmartwieniu gospodarza, nie doszło. Część z nas dała się natomiast skusić na propozycję przenocowania na lawach – siedziskach rozstawionych w namiocie Tybetańczyka. O nietrafności swojego wyboru osoby wypoczywające przekonały się, gdy wokół ognia rozsiadła się drużyna palących wieczoru żołnierzy. Po ich odejściu spokój późnego wieczoru zakłócał gospodarz, który postanowił okazać swoje względy wybrance. Świadcowie wydarzeń, twierdzili, że załoty były burzliwe i mało delikatne w porównaniu ze znanymi im standardami. Jednak następstwem tej specyficznej gry wstępnej była głośno wyrażona przez zainteresowanych satysfakcja z zakończonej sukcesem konsumpcji. Dopiero po ustaniu tych pokrępiających odgłosów ich mimowolni słuchacze mogli grzecznie zasnąć z rączkami na śpiworkach.

Do bazy wysuniętej położonej na pofałdowanym grzbiecie moreny bocznej na wysokości 5700 mnpm dotarliśmy 17 kwietnia. Dojście tu okazało się być całkiem poważnym wyzwaniem dla naszych ciągle słabo zaaklimatyzowanych organizmów. Dla niektórych uczestników zaczęła się prawdziwa droga przez mękę. Każdy krok wzmagał bolesne pulsowanie w czaszce, czerwone plątki wirujące przed oczami wymagały zatrzymania i zaczerpnięcia krótkich, szybkich łyków powietrza, a nagle miękkie mięśnie nóg odbierały wiarę w pokonanie kolejnej morenowej przeszkody. W końcu jednak wszyscy dotarli do obozu, gdzie w zaciszu namiotów mogli rozkoszować się powietrzem

o ciśnieniu równym połowie wartości ciśnienia atmosferycznego uważanego za normalne.

Korzystając z ciągle pięknej, bezchmurnej pogody już 19 kwietnia zakładamy Obóz I na grani na wysokości 6400 mnpm. Podejście do miejsca, w którym rozstawiamy namioty nie sprawia żadnych trudności technicznych. Mimo to stanowi pierwszy i jak się w kolejnych dniach okazuje decydujący o kolejności ataku sprawdzian sił uczestników wyprawy. Droga do obozu przez kilka pierwszych kilometrów biegnie klucząc pomiędzy morenowymi „wydmami” wzdłuż lodowca. Końcowy fragment podejścia wymaga pokonania czterystu metrowego przewyższenia po stromym ziemno – kamienistym zboczu. Dwa kroki w górę, nieostrożne ustawienie stopy i obsunięcie o pokonany przed momentem w przeciwnym kierunku odcinek drogi. I tak przez godzinę, dwie. Myśli nieuchronnie zaczynają krążyć wokół historii Syzyfa. Zza nachylenia wzgórze wraz ze zdobywaniem wysokości wylania się kolejny fragment podejścia. A potem jeszcze jeden, kamienista męczarnia zdaje się nie mieć końca.

Do celu etapu docieramy pojedynczo, w dużych odstępach czasu. Kasia może na swoim koncie odnotować drobną satysfakcję z wyprzedzenia kilku wspinaczy. Nie ma pewności, czy ciężko łapiąc oddech zauważyli drobną złośliwość w informacji przekazanej im przez schodzącą już Katarzynę, że czeka ich jeszcze dobrych kilka minut podejścia. Sami się prosili o przytarcie nosa poddając poprzedniego wieczora w wątpliwość sensowność zabierania w góry „kobiet – ceprów”.

Pozostawiwszy depozyt w rozstawionym w Jedyńce namiocie, w poczuciu dobrze spędzonego dnia wracamy do bazy. Tutaj Napal bezlitośnie egzekwuje nasze wcześniejsze deklaracje o chęci zdecydowanego marszu w górę. „Kto jutro idzie nocować do Jedyńki?” – pyta Rysiek. Perspektywa ponownego zsuwania się po piarżysku z ładunkiem przyginającym do ziemi kark



nikogo nie zachwyca. W końcu decydujemy się z Arturem na podjęcie wyzwania. Kwestia składu zespołu prowadzącego akcję staje się przesądzona.

Razem z Ryszardem i Kasanem - tragarzem w dobrym tempie docieramy do Obozu I. Pogoda, której do tej pory nic nie można było zarzucić, zaczyna pokazywać swoje bardziej surowe oblicze. Z dnia na dzień drobne chmury nadciągają wcześniej i są bardziej masywne. Temperatura w nocy w namiocie w bazie sięga -10C. Tu gdzie nocujemy, czyli siedemset metrów wyżej, na odsłoniętej grani spada do -14C. Zmęczeni kopaniem platform pod kolejne namioty po wieczornej łączności radiowej szybko skrywamy się w śpiworach.

Życie w bazie toczy się leniwie. W południe ciepłko i fantastyczne widoki wyganiają nas na plażę przed namiotami. Wieczorami czas mija przy lekturze, brydżu i górskich opowieściach. Gdy przychodzi moja kolej opowiadam anegdoty z wyprawy na Kaukaz przed trzynastu laty. W pewnym momencie do opowieści włącza się Jurek uzupełniając relację barwnymi szczegółami. Ale przecież, o tym, że w naszym samolocie przy lądowaniu spaliła się opona, i że atakując Elbrus podjechaliśmy wynajętym przez Niemców ratnikiem do Skal Pastuchowa może wiedzieć tylko bezpośredni uczestnik tych wydarzeń. Jurek z niedowierzaniem, bardzo dokładnie mi się przygląda.

- Na Elbrus podchodził razem ze mną chłopak spod Jeleniej Góry, Warszawiak i jeszcze ktoś – próbuje zidentyfikować współtowarzyszy wspinaczki.

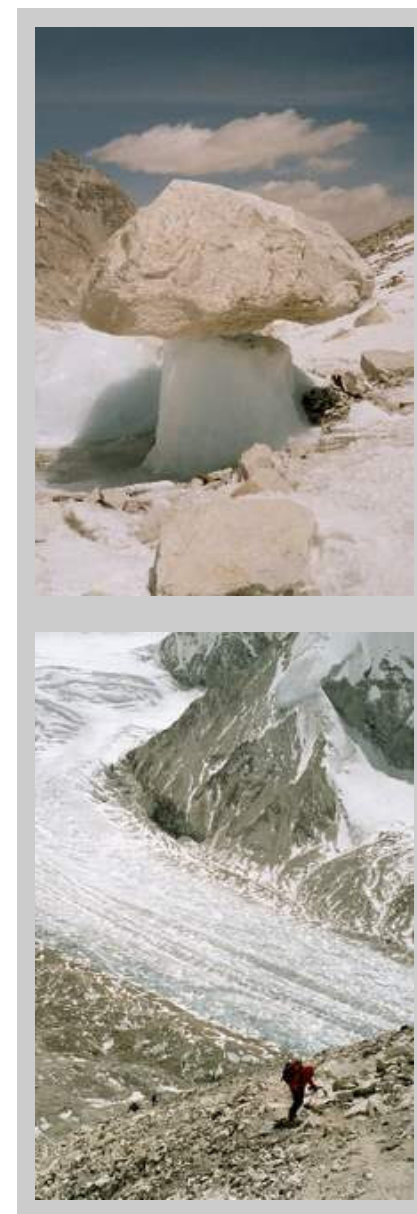
- Razem ze mną we mgle był jeszcze Marian i Wojtek - pamięć Jurka do imion okazuje się lepsza od mojej.

A zatem po kilkunastu latach od tamtej wyprawy los znów nas zetknął w górach. Dlaczego nie rozpoznaliśmy się wcześniej? Pozostaje tylko domyślać się zmian, jakich w naszych fizjonomiach dokonał czas.

Wyprawa na Kaukaz to dla mnie przede wszystkim wspomnienie Piku nazwanego przez nas „Armin”. Bezpośrednio po przyjeździe w Dolinę Bezingi, głodni wspinaczki, w kilku kolegów ruszyliśmy na najbliższą wznoszącą się nad obozem ścianę. Wyszliśmy w pięciu, a wróciliśmy wieczorem bez najbardziej sprawnego z nas – austriackiego przewodnika Armina. Armin utkwil wysoko w ścianie, w trudno dostępnym miejscu, bez sprzętu, bez właściwego ubrania, po drobnym upadku. Podejmowane przez cały kolejny dzień próby dotarcia do wspinacza – zakończyły się niepowodzeniem. Sobie tylko znanym sposobem udało się Austriakowi zejść do bazy po dwóch nocach spędzonych w pulapce.

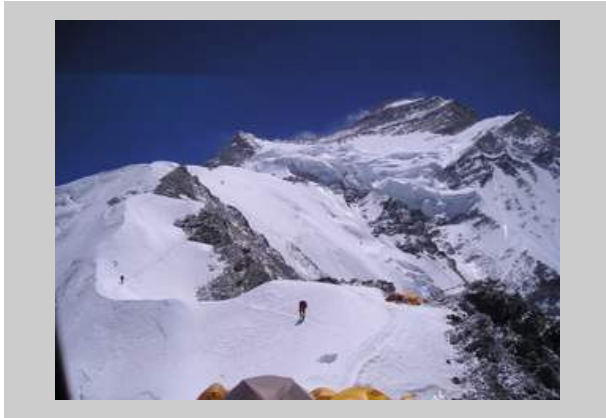
W tym czasie nie zrobiłem nic żeby do niego dotrzeć. W dniu, w którym Armin czekał na pomoc, tak jak większość grupy, poszedłem na wycieczkę. Na wspomnienie tej sytuacji do tej pory zastanawiam się „dlaczego?” Jak to możliwe, że w sytuacji oczywistego zagrożenia, nie czyni się nic, aby choć spróbować zapobiec najgorszemu? Czy ta lekcja przypomni mi się, jeśli będę wystawiony na podobne wyzwanie w przyszłości? A może już byłem w analogicznej sytuacji i znów pozostałem głuchy na biegnące ze ściany wołanie? Czy mogę oczekiwać, że jeśli sam będę w potrzebie, ktoś poczuje się zobligowany do udzielenia pomocy?

Nie miałem odwagi zapytać Jurka jak on zapamiętał te zdarzenia i czy zna odpowiedzi na pytania dotyczące naszych ówczesnych wyborów i zachowań.



Obozy (rok później)





Kolejne dni poświęcamy zaopatrzeniu Jedyńki w sprzęt niezbędny dla założenia kolejnych obozów. Z wyprawy ze względu na problemy zdrowotne rezygnuje drugi wspinacz. Także trekkerzy kończą swoją przygodę z Górą. Kasia, Dorota i Marek 23 kwietnia, w dzień moich imienin, ruszają w dół. Z Katarzyną jeszcze spotkamy się w Kathmandu, aby razem wrócić do Polski.

24 kwietnia wychodzimy pierwszym zespołem do góry z zamiarem podciągnięcia linii obozów pod szczyt i spróbowania - jeśli warunki na to pozwolą - ataku. Zgodnie ze szczegółowo opracowanym w bazie planem mamy zamiar działać w dwóch cztero-osobowych zespołach. Koledzy z zespołu drugiego mają wyjść w górę jeden dzień po nas dbając o zaopatrzenie namiotów i czekając na swoją kolej próby zdobycia szczytu. Podczas wieczornej łączności radiowej dowiadujemy się, że do bazy dotarł Zbyszek. Jego relacja dotycząca szczegółów leczenia początkowego stadium obrzęku płuc nie jest pochlebna w stosunku do lokalnego systemu ochrony zdrowia.

Rano ruszamy do góry. Odcinkami droga prowadząca do miejsca, w którym zamierzamy założyć Obóz II dostarcza nam radości wspinaczki w lodzie. Należy

pokonać dwie bariery seraków. Pierwsza z nich o wysokości około 30m wymaga znacznego wysiłku. Pionowa, lodowa ściana jest wyposażona w kilka lin poręczowych. Położona wyżej, druga bariera liczy sobie około stu metrów, ale jest mniej stroma aniżeli pierwsza przeszkoda. Tu również system poręczówek pozwala na bezpieczne pokonanie trudności. Do miejsca planowanego Obozu II docieramy około godziny 14. Rąbimy platformę pod namiot i po zostawieniu depozytu ruszamy w drogę powrotną. Pozostawanie na noc na wysokości 7100 mnpm przy ciągle niewystarczającej aklimatyzacji mogłoby pozbawić nas sił niezbędnych do prowadzenia dalszej akcji. Sensowniejszym rozwiązaniem jest powrót na noc do Obozu I, gdzie mamy szansę lepszej regeneracji organizmu.

Plecaki wyładowane sprzętem spowalniają posuwanie się do góry. Niekorzystna zmiana pogody nadciąga z każdym dniem wcześniej, a jej efekt jest coraz bardziej uciążliwy. Gęste chmury pojawia się już wczesnym popołudniem. Opady świeżego śniegu zacierają ślady. Do obozu II docieramy prawie 2 godziny później niż podczas poprzedniego wyjścia. Resztek sił pozbawia nas kopanie platformy pod drugi namiot. Ale za to wieczorem możemy z satysfakcją pomyśleć o naszych dokonaniach. Obóz II jest w pełni wyposażony i gotowy na przyjęcie jednocześnie 4 osób.

W tym czasie do Obozu I na nocleg dochodzą Jurek, Heniek i Ryszard. Na podejściu z zespołu wykrusza się kolejny uczestnik wyprawy. Sytuacja zaczyna przypominać tę z dziecięcego wiersza o 10 małych murzynkach. Bez mała codziennie z nadziejami na końcowy sukces żegna się jeden z nas.

Zgodnie z planem akcji, zmieniamy się na prowadzeniu z zespołem drugim. Zespół pierwszy schodzi odpocząć do Jedyńki, podczas gdy koledzy wnoszą zaopatrzenie przeznaczone na założenie Obozu III do Dwójki. Pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie. W

namiocie panuje nieznośny, odbierający chęć działania upał. A popołudniową ciszę przerywają odgłosy sunących z sąsiednich zboczy pociągów lawin. Z góry dochodzą coraz bardziej niepokojące komunikaty radiowe. Zespół drugi porusza się niezmiernie wolno. Mam nadzieję, że dzień próby „braterstwa liny” jeszcze nie nadszedł. Na wieść, że w końcu docierają do namiotów Obozu II oddycham z ulgą.

W myślach pojawia się inny obrazek – też góry, ale jakże odmienny kontekst. Rok temu w Alpach Julijskich, w trakcie burzy z piorunami, do schroniska weszła dwójka turystów z nietypowymi plecakami. Z jednego z bagaży wygramolił się Frantyszek – turysta niespełna dwuletni. Radość, z jaką dziecko poznawało nowe otoczenie, udzieliła się wszystkim siedzącym w jadalni. A Frantyszkowi radość poznania sprawiło dosłownie wszystko: góry, burza, ptaki i obrazki na ścianach. Leżąc w namiocie rozmawiamy z Arturem o planach na przyszłość. Co po Górze? Nie mamy wątpliwości, że „po Górze” oznacza również „po Szczyście”. Utwierdzamy się nawzajem w determinacji podeptania 8000 metrów i porównujemy nasze plany „na potem”. Nie zamierzamy kończyć przygody z najwyższymi szczytami na tym jednym wejściu. Ale i marzenie o pokazaniu własnemu Frantyszkowi gór okazuje



się być wspólną myślą. Artur łączy się przez telefon satelitarny z Agnieszką. Mnie niestety nie udaje się dodzwonić do Kasi. W końcu via Polska dowiaduję się, że trekkerzy szczęśliwie dotarli do Kathmandu – dobre i to. Pora zaprzestać błędzenia myślą gdzieś daleko. Jeśli mam zrealizować plany „po Górze” to muszę się skoncentrować na tym, co czeka mnie tu i teraz.

Przy bardzo silnym wietrze i gęstniejącym opadzie śniegu ponownie zmierzamy do Dwójki. Tuż przed serakiem spotykamy powracających z noclegu aklimatyzacyjnego kolegów z zespołu drugiego. Rysiek przekazuje mi krzyżyk od Ewy – partnerki podczas naszego wejścia na Ama Dablam. Nie uda mu się zawiesić go na szczycie. To gest bardziej dobitny niż słowa. W uszach brzmi sarkastycznie refren wiersza o Murzynkach: „... i zostało szczęściu”. W dół zmierzają też Diane i Ben. Po zimnej i wietrznej nocy w Dwójce postanowili wycofać się do podstawy i spróbować wejścia ponownie za kilka dni. W czasie łączności radiowej Napał informuje o zmianach w składzie zespołów. Po rezygnacji Króla Południa, Lider wzmocni zespół II. Artur, Irek i ja mamy założyć Obóz III.



29 kwietnia podchodzimy w trójkę szerokim śnieżnym zboczem pod skalne żebro. Ślady poprzednich dni zostały przysypane świeżym puchem. Na końcowym odcinku mylimy drogę i fundujemy sobie podejście na żebro jego trudniejszą stroną. Nie jesteśmy pewni, czy znaleziona, niewielka, ukośna platforma to właściwe miejsce na założenie obozu III. GPS wskazuje wysokość 7510 mnpm. Wokół nie ma innych śladów ludzkiej aktywności. Jesteśmy jednak zbyt zmęczeni, aby szukać dalej. Czeka nas jeszcze wyrównanie platformy i w końcu zagnieźdźmy się w śpiworach. Ale to nie koniec przygód przewidzianych dla nas przez los na ten dzień. Przez dwie godziny próbujemy odpalić maszynkę gazową. Próby naprawienia cholernej sprzątu nie udają się. Na szczęście nieopatrna próba podpalenia namiotu także kończy się niepowodzeniem. Zrezygnowani musimy zadowolić się resztką herbaty z termosu i suchym prowiantem.

O 8.55 rano z Arturem meldujemy się w Obozie II. Tu uzupełniamy braki płynów i kalorii. Irek postanowił poczekać na nasz powrót w Obozie III. Z rosnącym niepokojem, bez powodzenia próbujemy połączyć się z Królem Północy o kolejnych pełnych godzinach. Czy coś mu się stało? Czy przegapiliśmy moment, w którym jego organizm zaczął popadać w odrętwienie? Dlaczego Irek był tak mało mówny dziś rano, i skąd ta dziwna decyzja o pozostaniu bez ciepłego żarcia i picia na wysokości 7500? Zabieramy z namiotu zapasową maszynkę i w szybkim tempie, za torującym drogę zespołem japońskim wspinającym się w towarzystwie Szerpów, dochodzimy do Obozu III. Irek zeznaje, że nie był na nasłuchu o wyznaczonych godzinach bo... większość czasu spał. Przyjmuję to wyjaśnienie jako wystarczające, choć z perspektywy czasu wydaje mi się, że prawdziwym powodem było osłabienie pobytom na wysokości i wynikające z niego zubożenie. Kolejne godziny pochłania gotowanie wody i przygotowywanie jedzenia. Wmuszam w siebie zupki, liofilizaty i inne zapychajki nie odczuwając głodu. W rozmowach poja-



wia się z wątpliwością czy to już jutro mamy podjąć tę kluczową próbę. Podjęcie decyzji ułatwia ultimatum postawione przez Lidera: „albo wchodzić jutro, albo zwalniać miejsce w obozie dla zespołu drugiego.” „Akurat, nie po to tu wchodziłem, aby teraz schodzić!” - myślę, dopakowując do plecaka trzecią parę rękawic.



Szczyt (tu i teraz)



Jest 1 maja. Pobudka o 2:30. Wewnątrz namiotu termometr wskazuje... nic. To znaczy, że temperatura spadła poniżej zakresu pomiaru. Musi być mniej niż -20C. Przygotowania do wyjścia prowadzone na dwóch metrach kwadratowych powierzchni podłogi dłużą się niemiłosiernie. Raki zakładam przed namiotem. Dotknięcie metalowych części powoduje, że metal klei się do rąk. Na zboczu powyżej wolno przesuwają się światelka zdradzające obecność Japończyków. Wyruszamy około godziny 5:00. Mijamy podarte plachty namiotów zbliżając się do bariery żółtych skal. Nigdzie nie widać Irka – prawdopodobnie zawrócił. Mimo korzystania z pomocy lin poręczowych wspinaczka na wysokości 7800 mnpm przebiega wolno. Uwagę koncentruję na wyborze lin i właściwym użyciu sprzętu. Nasze tempo nie jest chyba jednak takie całkiem złe. Mijamy idących „na tlenie” Japończyków i doganiamy Szerpów. Ze złośliwą satysfakcją wspominam wczorajszą uwagę jednego z nich, aby nie podążać ich śladem.

Czas mija bardzo szybko. Około 13.30 odpoczywamy przed pokonaniem drugiej bariery skal zamykających drogę do kopuły szczytowej. Czuję szczyt w zasięgu ręki. Wbrew normalnemu w takiej sytuacji obyczajowi nie wyznaczamy sobie godziny odwrotu. Postanawiamy iść do skutku. Ostatnie kilkaset metrów to śnieżne pola o niewielkim nachyleniu. Podążamy za traserami wyznaczającymi drogę do najwyższego punktu tej śnieżnej pustyni. Pada śnieg. Widoczność nie przekracza kilkuset metrów. W końcu jest. Spod śniegu wystaje kilka sznurów z nanizanymi modlitewnymi chorągiewkami.

Nie widać dalszych traserów. Sprawdzamy wskazania GPS: 8198 mnpm. To musi być tu! Uścisk dłoni. Kilka zdjęć. Mało słów. Ostatnia dawka napędzającej nas do tej pory adrenaliny dociera do mózgu. Po spędzeniu na szczycie niecałych 15 minut zaczynamy odwrót.

Górne warstwy chmury rozwiały się. Jesteśmy powyżej ich pułapu podziwiając z góry skalno-lodowe wyspy wynurzające się z tumanu. Z każdym krokiem narasta zmęczenie. Luźne poręczówki wplątują się w raki. Coś niepokojącego zaczyna się dziać z moimi palcami stóp.



Bolą inaczej niż to zwykle ma miejsce przy schodzeniu, gdy palce opierają się o czubek buta.

O 20:00 prowadzeni światłem z czołówki Napala docieramy do Obozu III. Ale to jeszcze nie koniec wysiłku na ten dzień. Po 18 godzinach od pobudki ciężko zmobilizować się do dalszej drogi. Przy wątłym świetle latarek, bardzo ostrożnie rozpoczynamy schodzenie po skalistym zboczu. Droga kilkukrotnie pokonana przy świetle dziennym w nowych warunkach zmienia się nie do poznania. Pamiętając o szczelinach ukrytych w dolnej części stoku staramy się wyczuć szóstym

zmysłem właściwy kierunek zejścia. Minuty biegną nieubłaganie zmieniając się w godziny. Cały czas sypie śnieg. Błąkamy się nawołując i szukając namiotów Dwójki. W końcu Artur znajduje miejsce naszego wybawienia. Wczołgujemy się do namiotu. Nawiązujemy łączność przez telefon satelitarny z Moim Synem - Adamem. Rozmawiamy przez chwilę o dniu spędzonym przez niego w szkole i o pokonanej przeze mnie drodze. Trudno przekazać emocje. Padają tylko mało istotne słowa. Górę bierze zmęczenie. Dobrze po północy zasypiamy. Mróz, który zadomowił się w ciele, prawdopodobnie jeszcze podczas podejścia, kontynuuje swoje dzieło.

Następnego dnia mogłoby równie dobrze nie być. Leżymy w namiocie nie mając ochoty na jakąkolwiek aktywność. Pierwszy z letargu podnosi się Artur. Z sąsiedniego namiotu wywołuje Hiszpana, który przynosi nam leki przeciwodmrożeniowe wraz z dobitnym zaleceniem „złażcie jak najszybciej”.

Ale realizacja tej oczywistej recepty nie jest prosta.

W tym czasie w Obozie III nasi koledzy nie mogą zdecydować się na podjęcie decydującego ataku. Na wychodzeniu i wracaniu do namiotu upływa im poranek. W końcu 3 maja do samotnego ataku rusza Napal. W namiocie czeka na niego - cierpliwie jak zwykle - Jurek. Heniek dostaje zadanie wykopania nas ze śpiworów i pilotowania w drodze w dół.



Napał bez problemów dociera na szczyt i w dobrej formie schodzi do Trójki. Artur sprawnie schodzi do Jedyńki skąd jeszcze tego samego dnia w towarzystwie Zbyszka dociera do Bazy Wysuniętej. Dopiero tutaj wielodniowy wysiłek nie daje mu przelknąć jakiegokolwiek potrawy zmuszając raz po raz do płacenia haraczku trzymanej w objęciach misce.

Mój zasób sił okazuje się być daleko mniejszy. Wyczerpanie pojawia się kilkaset metrów przed Obozem Pierwszym. Obolale stopy odmawiają posłuszeństwa. Siadam na plecaku i próbuję pokonać śnieżny stok na zaimprovizowanych sankach. Na szczęście metoda ta okazuje się nieskuteczna. Dzięki temu niewidoczna z góry szczelina nie staje się końcem toru saneczkarskiego. Ostatnie kilkadziesiąt metrów pokonuję pod okiem Zbyszka. Tego samego, który dwa tygodnie wcześniej nie mógł zaaklimatyzować się dwa kilometry poniżej

miejsca położenia Jedyńki. Dziś to on sprawuje opiekę nad Nieustraszonym Pogromcą Ośmiotysięcznika.

Do mojego namiotu zaglądną Ben i Diane. Następnego dnia zamierzają podjąć ostatnią próbę wejścia. Diane ofiarowuje się zmienić opatrunki. Po odwinięciu bandaży na jej twarzy wyczytuję z trudem skrywane przerażenie.

Aby zejść z Jedyńki trzeba pokonać piarżysty stok. Poprzednio pokonanie tego odcinka zajmowało mi około 25 minut. 4 maja ten sam odcinek zajmuje mi 3 godziny. Dla uniknięcia urażenia palców stawiam nogi bokiem. Pocieszam się wspomnieniem wydarzeń opisanych przez Joe Simpson'a w „Dotknięciu pustki” – inni miewali gorzej.

- A czy pamiętasz, po czym Joe poznał, że jest już blisko bazy? – ciągnę auto-konwersację.

- No jasne, wczółgał się w gówna – odpowiadam sobie.

- Kwestie fizjologiczne to na tej wysokości ważkie zagadnienie. Spróbuj zasnąć bez butli na szczanie zdołowanej w ciepłe śpiwora przy minus dziesięciu w namiocie! Przerąbane! A propos, dochodzisz do tego kamienia i lejesz – odzywa się moje mentorsko - prozaiczne ja.

Łatwiej pomyśleć niż wykonać. Zmrożone koniuszki palców u rąk mocują się z zapięciem kombinezonu. Jeszcze jedna rozpaczliwa próba i... czuję cieknące po nogach ciepło. Polarowy kombinezon, dwie pary stretch'owych kałesonów, grube skarpety - błyskawicznie nasiąkają wilgocią. Niespodziewany komfort ciepły trwa krótko. Już po chwili ubranie twardnieje, a wokół roznosi się kłozardzi smrodek. Nie tak miał wyglądać mój triumfalny powrót ze szczytu, no kurwa, nie tak to sobie zaplanowałem!!! Uczucie wściekłości podrywa mnie do dalszej drogi. Jeszcze kilkaset metrów i witam

się ze Zbyszkiem i Ryśkiem, którzy wyszli mi na spotkanie. Tym razem bez protestu oddają plecak Kolegom.





Prawo karmana



W nocy z 4 na 5 maja do bazy pod Cho Oyu przychodzi zima. Opad śniegu praktycznie uniemożliwia dalszą działalność górską. Do namiotów wracają kolejni zrezygnowani alpinści. Wśród nich w bazie zjawiają się także bardzo zmęczeni Jurek i Heniek, którzy nadzorowali likwidację naszych obozów. Jak się później dowiedzieliśmy, w sezonie wiosennym 2005, do 10 maja na szczyt weszło raptem osiem osób. Sukces za każdym razem był udziałem zespołów, co najwyżej dwuosobowych. Nie było ani jednego wieloosobowego wejścia grupy wspieranej przez Sherpów. Wszyscy, niezależnie od tego czy stanęli na czubku góry czy nie, narzekali na nadspodziewanie trudne warunki atmosferyczne. Najłatwiejszy z ośmiotysięczników tym razem postanowił zadać kłam obieguj o nim opinii.

W bazie próbujemy znaleźć dodatkową pomoc medyczną. Holenderski lekarz dużej wyprawy przyjmuje

mnie w swoim namiocie – laboratorium. Po obejrzeniu niewątpliwie interesującego przypadku, jaki w tym momencie stanowią, radzi kąpiele w wodzie z dodatkiem środka dezynfekującego i zaopatruje tylko w życzenia poprawy zdrowia, bo jodyna będąca na wyposażeniu jego grupy „może mu się jeszcze przydać”. Nieporównanie większą chęć pomocy zgłaszają dwaj Kazachowie. Młodzi, lecz bardzo już doświadczeni wspinacze – Max i Wasyl. I nie chodzi tu nawet o leki, które wyciągają z własnej apteczki – choć i to niezwykle cenne – ale o życzliwość i solidarność. Nie do końca dociera do mnie świadomość, że obserwowane zmiany nie dotyczą tylko skóry, i że coś niedobrego dzieje się wewnątrz palców. Dlatego spokojnie czekam na zapowiedziany termin powrotu do cywilizacji. Zresztą panika i histeria i tak nie przyspieszyłyby przyjscia jaków po nasz bagaż.

7 maja od rana trwa gorączkowe zwijanie, pakowanie i ważenie ładunków. Sprzęt jest przygotowywany do transportu na grzbietach jaków. Na grzbietach trzech niegrzeszących wzrostem Tybetańczyków transportowany będzie nietypowy ładunek – ja. Sonam, Pasang i Kasan zgodzili się znieść mnie do bazy pośredniej przez najbardziej uciążliwy fragment biegnącej morenowymi wzgórzami trasy. Dzięki temu coraz mocniej dokuczające mi stopy nie będą poddane kilkugodzinnym torturom, zaś lokalna ekonomia w osobach tragarzy zostanie wsparta solidnym zastrzykiem gotówki. Tyle teorii. W praktyce jak zwykle pojawiają się niespodzianki. Największym zaskoczeniem jest awantura, jaką tragarze rozpętują w chwili otrzymania wynagrodzenia w uzgodnionej wysokości. Cała, okazywana mi podczas drogi, życzliwość i troska o dostarczenie ładunku w stanie nieuszkodzonym pryska. Jej miejsce zajmuje natarczywe dopominanie się o podwyższenie gaży. Nie ważne, że otrzymana zgodnie z umową zapłata kilkukrotnie przewyższa stawki transportowe, tragarze nie rezygnują z uzyskania dodatkowych pieniędzy. W końcu, gdy ich wysiłki okazują się bezowoc-

ne Pasang przy użyciu środkowego palca z wściekłością demonstruje mi przed nosem znak „fuck you”. Gdybym znalazł tybetański prawdopodobnie usłyszałbym tekst typu: „Ty głupi białasie, cholerny kuternogo, myślisz, że niosłem cię, aby zyskać lepszą karmę? Nie, zależy mi tylko na twojej kasie!”

Jeszcze tego samego dnia dojeżdżamy jeepem do granicy tybetańsko – nepalskiej.

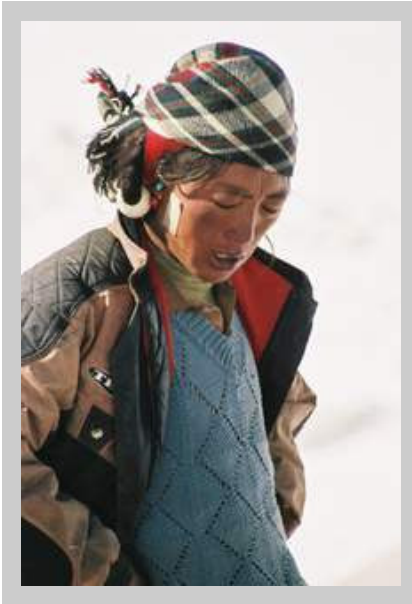
Następnego dnia w Kathmandu dołącza do nas Katarzyna. Ostatnie dwa tygodnie spędziła w Pokharze i jej okolicach. Szybko staramy się opowiedzieć sobie nawzajem wydarzenia ostatnich dni. Jestem Kasi bardzo wdzięczny za to, że mimo dobrych ku temu powodów nie komentuje mojego stanu i przyczyn, które do niego doprowadziły słowami „A nie mówiłam!?” Na krótko wyjeżdżamy z Kathmandu do położonego tysiąc metrów wyżej Nagarkot. Tu o świcie zegnamy się z góra-



mi oglądając ich przymgloną panoramę z tarasu hotelu. Teoretycznie powinno być widać Cho Oyu, ale niedostateczna przejrzystość powietrza nie pozwala na rozpoznanie szczegółów rzeźby odległej o kilkadziesiąt kilometrów grani.

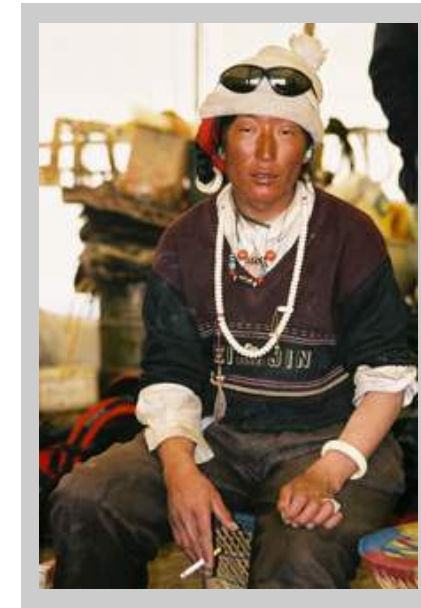
13 maja wracamy do Polski. Wizyty u kolejnych lekarzy potwierdzają wcześniejsze rozpoznanie – martwica palców stóp. Jaszczurce uszkodzony ogon podobno może odrósnąć, kończyny ssaków tej cechy nie posiadają. Terapie, którym jestem poddany mają za zadanie nie dopuścić do dalszego obumierania tkanek, spowodować ich dokrwienie i w konsekwencji uratowanie kilku cennych milimetrów długości paluchów. Jednak docelowo możliwe jest tylko jedno rozwiązanie. Radykalne i trudne do zaakceptowania.

Szukam powodów, dla których sukces został przeze mnie okupiony odmrożeniami. Obok przyczyn obiek-



tywnych takich jak nadspodziewanie trudne warunki atmosferyczne, brak możliwości natychmiastowej, specjalistycznej pomocy medycznej, relatywnie krótki czas aklimatyzacji należy wymienić także czynniki, na które miałem wpływ. Najważniejszym z nich było obuwie. Skorupy, które sprawdziły się w warunkach 7000 mnpm, okazały się być zbyt słabym zabezpieczeniem o tysiąc metrów wyżej, zwłaszcza wobec rezygnacji z użycia butli z tlenem. Drugim czynnikiem była niedostateczna uwaga poświęcona stopom i płynącym z nich sygnałom. Za rzadko poruszałem palcami, nie próbowałem zintensyfikować krążenia krwi podczas wspinaczki. Jednak przaprzyczyny problemów doszukałem się w tym samym czynniku, który zadecydował również i o sukcesie wspinaczki. I ja i Artur byliśmy maksymalnie zdeterminowani i zmotywowani do wejścia. Rozmawiając przed atakiem najpierw w żartach, a później coraz poważniej obydwoj dopuszczaliśmy możliwość utraty palca – jednego palca. Mentalne pogodzenie się z dodatkowym kosztem spowodowało podwyższenie poziomu uruchomienia wewnętrznego alarmu i zmniejszenie się marginesu bezpieczeństwa. Próba wytargowania „sensownej” ceny za szczyt skończyła się fiaskiem, a wystawiony rachunek zdecydowanie przewyższył dopuszczony limit. Tylko przypadek spowodował, że cena wyniosła tyle ile wyniosła. Mogła być wyższa, mogła być niższa. Dopuszczenie do siebie myśli, że być może trzeba będzie zapłacić czymś więcej aniżeli tylko poświęconym Górze czasem i gotówką wydaną na przygotowanie wyprawy, spowodowało, że to co hipotetyczne zamieniło się w bolesną rzeczywistość.

W filozofii wschodu powszechne jest przekonanie, że każdy skutek immanentnie tkwi w swojej przyczynie. Istnieje tam potencjalnie na długo przed urealnieniem się. Ja odmrożeń nabawiłem się w chwili, gdy przystałem na myśl o utracie palca. Mróz na szczycie tylko zmienił potencję w rzeczywistość.



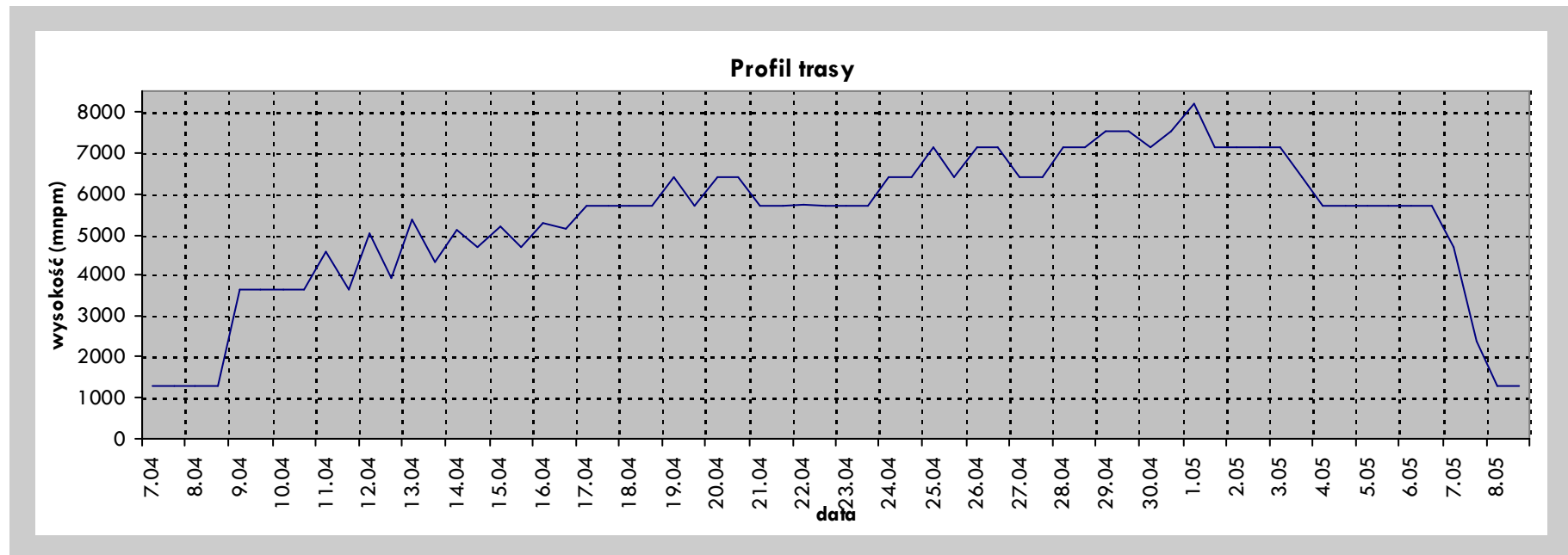
Chłód bloku operacyjnego. Zaczynają działać środki ogłupiająco – znieczulające. W gasnącej świadomości kotłuje się natarczywa myśl:

- Pomyśl czy tu chodzi o wspinanie?, o góry?, a może o coś dużo ważniejszego?

Kalendarium wyprawy

07.04 Wylot z Warszawy, Przylot do Kathmandu
 09.04 K, D, A, M, Z, W - Przelot do Lhasy
 10-11.04 Lhasa (3640 mnpm); Drepung (4550 mnpm)
 12.04 Przejazd przez Karo La (5045 mnpm) do Shigatse (3950 mnpm)
 13.04 Przejazd przez Gyatso La (5350 mnpm) do Shegar (4300 mnpm)
 14.04 Przejazd wszystkich do auto-bazy (4710 mnpm)
 16.04 Z zjeżdża na leczenie. Pozostali idą do bazy pośredniej (5150 mnpm)
 17.04 Trek do bazy głównej (5700 mnpm)

19.04	A, I, L, W, H, J, R, P, K - założenie Obozu I (6410 mnpm)	28.04	A, I, L, W - Obóz II; H, J, R - Obóz I; R rezygnuje
20.04	A i W nocleg w Obozie I	29.04	A, I, W zakładają Obóz III; L - Obóz II;
22.04	K, D, M, W - Nangpa La (5740 mnpm)	30.04	A, W - zejście i powrót do Obozu III; H, J podchodzą do Obozu II
23.04	K, D, M, Ag - opuszczają bazę	1.05	A, W zdobywają szczyt; I rezygnuje; H, J, L - Obóz III
24.04	A, I, L, W - Obóz I, Z wraca do bazy	3.05	L zdobywa szczyt; H, J - rezygnują
25.04	A, I, L, W zakładają Obóz II (7100 mnpm)	5.05	H, J jako ostatni wracają do bazy
26.04	A, I, L, W - Obóz II; H, J, R Obóz I, P rezygnuje	7.05	Likwidacja bazy
27.04	A, I, L, W - Obóz I; H, J, R - Obóz II	13.05	Powrót do Warszawy





Zdjęcia

- Str. Zdjęcie przedstawia (autor zdjęcia)
- 1 Cho Oyu z bazy (W)
 - 3 Młynki modlitewne, Katmandu (A)
 - 4 Biblioteka w Pałacu Potwala, Lhasa (Z);
 - 5 Barkhor kora, Lhasa (W)
 - 6 Pałac Potala, Lhasa (K)
 - 7 Przed wejściem do Jokhang, Lhasa (Z), Na dachu Jokhang, Lhasa (A), Wnętrze Pałacu Potala, Lhasa (Z)
 - 8 Krajobrazy Tybetu (J, W, J)
 - 9 Klasztor w Shigatse (W, A, A)
 - 10 Panorama Mt Everest i Cho Oyu z Tingri (A)
 - 11 Cho Oyu z bazy (K)
 - 12 Baza (Z), W obozie I (A)
 - 13 Po drodze na Nangpa La (W); Podejście do Obozu I (W)
 - 14 Obóz II (L),
 - 15 W drodze do Obozu II (Z, W)
 - 16 A i I - Obóz II (W), I w drodze do Obozu III (W); J w Obozie III (L)
 - 17 A w zejściu ze szczytu (W)
 - 18 A i W na szczycie (W)
 - 19 A i W w bazie (L), Cho Oyu z bazy (W), Nosiwoda (J)
 - 20 Wnętrze świątyni Jokhang, Lhasa (Z)
 - 21 Tybetańczycy (L, L); 22 Tybetańczycy (A, A)
 - 24 Transport z bazy (Z)

Uczestnicy

(osiągnięta wysokość)

(I)	Ireneusz Czwojdziański ps. „Król Północy”	7600
(Ag)	Agenor Gawrzyła	5900
(W)	Wojciech Jankowski	8201
(D)	Dorota Janur (treker)	5800
(A)	Artur Kaźmierczak	8201
(L)	Ryszard Pawłowski ps. „Napał” (Lider)	8201
(P)	Piotr Polak	6400
(Z)	Zbigniew Skrzypczyński	6600
(H)	Henryk Szczęsny	7600
(M)	Marek Weigt (trekker)	5900
(J)	Jerzy Zaciera	7600
(R)	Ryszard Zawada ps. „Król Południa”	7100
(K)	Katarzyna Zimnicka (trekker)	6400